
LAURA BELLINI
Tylko nie mów dobranoc
Premiera minie.
Pytanie, co zostanie między nimi

Tylko nie mów dobranoc

Premiera minie. Pytanie, co zostanie między nimi

Laura Bellini

ROMANS

ISBN: 9788384900611

ALL-IN Rafał Płonkowski



SPIS TREŚCI

INTRO 4
Rozdział 1 - Dziewięć dni do premiery 13
Rozdział 2 - Warunki bliskości 25
Rozdział 3 - Światło, które zostaje 38
Rozdział 4 - To, czego nie widać na scenie 49
Rozdział 5 - Granica, której nie przekroczysz 62
Rozdział 6 - Zostań jeszcze chwilę 74
Rozdział 7 - Między jednym spojrzeniem a drugim 85
Rozdział 8 - Po drugiej stronie jeziora 96
Rozdział 9 - Ostatnia próba przed ciemnością 108
Rozdział 10 - Noc, w której zostaliśmy 120
Rozdział 11 - Rzeczy, które zostają po nocy 132
Rozdział 12 - Po premierze 144
Rozdział 13 - Cena jednej decyzji 155
Rozdział 14 - Prawda pomiędzy nami 166
Rozdział 15 - Wszystko, czego nie powiedziałeś 177
Rozdział 16 - Kiedy gaśnie ostatni reflektor 190
Rozdział 17 - Miejsce, które wybieram 202
Rozdział 18 - Zamiast kolejnej obietnicy 213
Rozdział 19 - To, co naprawdę zostaje 228
Rozdział 20 - Tylko nie mów dobranoc 242

INTRO

Pierwszy reflektor zapaliłam o dwudziestej drugiej siedemnaście, kiedy jezioro za sceną było już czarne, a nad wodą unosiła się mgła tak delikatna, że wyglądała jak część scenografii. Światło przecięło pustą widownię, przesunęło się po drewnianych ławkach i zatrzymało na środku podestu. Dokładnie tam, gdzie za dziewięć dni miała stanąć główna aktorka, wypowiadając zdanie, od którego zależało całe przedstawienie.

Przynajmniej tak wyobrażałam sobie tę chwilę.

W rzeczywistości reflektor zamigotał, wydał cichy trzask i zgasł.

- Świetnie - powiedziałam do ciemności. - Bardzo artystycznie. Tylko nie o to mi chodziło.

Zeszłam z kabiny technicznej, trzymając latarkę między zębami i tablet pod pachą. Letni Teatr nad Jeziorem miał podobno niepowtarzalną atmosferę. W folderze reklamowym wyglądał jak miejsce, w którym ludzie zakochiwali się podczas przedstawień, a później wracali co roku, żeby wspominać pierwszy pocałunek.

Folder nie wspominał o instalacji elektrycznej pamiętającej poprzednie stulecie, wilgoci w szafach rozdzielczych ani o tym, że połowa reflektorów była starsza ode mnie.

Miałam dwadzieścia siedem lat, własną działalność i wystarczająco dużo doświadczenia, żeby wiedzieć, że romantyczny widok potrafił kosztować więcej niż profesjonalne wyposażenie.

A jednak przyjęłam to zlecenie.

Nie ze względu na jezioro.

Za trzy tygodnie miałam przedstawić projekt autorskiej instalacji świetlnej w Warszawie. Jeśli komisja zaakceptowałaby koncepcję, otrzymałabym środki na pierwsze przedsięwzięcie realizowane całkowicie na moich zasadach. Bez podporządkowywania się cudzym wizjom. Bez słuchania, że światło powinno jedynie podkreślać to, co ważniejsze.

Pracę w teatrze potraktowałam jako ostatnie zobowiązanie przed tamtym spotkaniem. Dziewięć dni przygotowań, premiera, kilka poprawek i wyjazd. Miałam harmonogram rozpisany niemal co do godziny.

Nie przewidziałam tylko, że ktoś postanowi zmienić scenę.

Zauważyłam to, kiedy weszłam na podest.

Po lewej stronie stała wysoka konstrukcja z ciemnego drewna. Jeszcze rano jej tam nie było. Trzy nieregularne ściany tworzyły coś pomiędzy fragmentem domu a labiryntem. Zasłaniały jezioro, odbierały głębię scenie i przecinały zaplanowane przeze mnie linie światła.

Podeszłam bliżej, dotknęłam jednej z desek i zobaczyłam świeże oznaczenia montażowe.

- Żartujecie sobie ze mnie.

- Zazwyczaj dopiero po drugim spotkaniu.

Głos dobiegł z ciemnej części widowni.

Odwróciłam się gwałtownie.

Mężczyzna siedział w trzecim rzędzie, z nogami wyciągniętymi przed siebie. Miał na sobie jasną koszulę z podwiniętymi rękawami, ciemne spodnie i buty pokryte pyłem. Na sąsiedniej ławce leżały szkicownik oraz miarka.

Nie zauważyłam go wcześniej.

- Teatr jest zamknięty - powiedziałam.

- Wiem.

- W takim razie?

- Mam klucze.

Podniósł niewielki pęk, jakby to wyjaśniało wszystko.

- Gratuluję. Ja mam pozwolenie na pracę przy instalacji. Kim pan jest?

Wstał, zabrał szkicownik i zszedł w stronę sceny. Poruszał się bez pośpiechu, z tą nieznośną pewnością człowieka, który nigdy nie musiał udowadniać, że ma prawo gdzieś przebywać.

Dopiero kiedy stanął pod światłem awaryjnej lampy, zobaczyłam jego twarz. Mógł mieć niewiele ponad trzydzieści lat. Ciemne włosy, kilkudniowy zarost i niewielką bliznę przecinającą łuk brwiowy. Nie wyglądał na człowieka szczególnie zainteresowanego robieniem dobrego pierwszego wrażenia.

Co, ku mojemu rozdrażnieniu, wcale nie oznaczało, że go nie zrobił.

- Wiktor Małecki. Scenografia.

Spojrzałam na drewnianą konstrukcję.

- To pańskie?

- Zależy, czy zamierza pani pochwalić.

- Zamierzam zapytać, dlaczego zasłonił pan połowę jeziora.

- Bo spektakl rozgrywa się w domu, z którego bohaterka nie potrafi wyjść.

- A ja miałam pokazać, że ten dom jest tylko cieniem. Że przestrzeń za nim przez cały czas pozostaje otwarta.

Wiktor przyjrzał mi się uważniej.

- Pani jest Pola Rej.

- Niestety dla pańskiej konstrukcji.

Uśmiechnął się. Niewiele, zaledwie jednym kącikiem ust, ale wystarczyło, żebym zrozumiała, że nie zamierza ustąpić wyłącznie dlatego, że podniosłam głos.

- Widziałem pani projekt - powiedział. - Jest dobry.

- Jak miło. Szkoda, że najwyraźniej postanowił go pan zignorować.

- Nie zignorowałem. Chciałem sprawdzić coś, czego nie było na wizualizacjach.

- Można było zadzwonić.

- Można.

Ta odpowiedź była tak bezczelnie spokojna, że przez moment zabrakło mi słów.

Wiktor wszedł na scenę i stanął obok konstrukcji. Pachniał drewnem, kurzem i czymś świeżym, może mydłem. Z bliska zauważyłam drobne zadrapanie na jego dłoni oraz grafitowe smugi na palcach.

- Proszę mi pokazać swoje światło - powiedział.

- Nie pracuję na życzenie przypadkowych mężczyzn pojawiających się po nocy.

- Słusznie. Ale jestem scenografem tego przedstawienia, więc może pani zrobić wyjątek.

- Jest pan wyjątkowo pewny siebie.

- A pani wyjątkowo szybko wydaje wyroki.

Przez chwilę patrzyliśmy na siebie w milczeniu.

Nie podobał mi się jego sposób mówienia. Ani to, że zamiast obrażać się na moje uwagi, wyglądał na szczerze zainteresowanego rozmową. Jeszcze mniej podobało mi się, że stał wystarczająco blisko, bym musiała świadomie zdecydować, czy się odsunąć.

Nie odsunęłam się.

- Dziesięć minut - powiedziałam w końcu. - Potem zdecydujemy, które elementy trzeba zdemontować.

- Dziesięć minut brzmi uczciwie.

Wróciłam do stanowiska sterowania i uruchomiłam zapasową konfigurację. Światło pojawiło się najpierw na podłodze, później wspięło po drewnianych ścianach. Zgodnie z moim pierwotnym projektem miało odsłaniać jezioro stopniowo, jakby bohaterka odkrywała możliwość ucieczki.

Teraz jednak cień konstrukcji padał w poprzek widowni.

Nie był to efekt, który zaplanowałam.

Ale musiałam przyznać, że wyglądał interesująco.

Wiktor przeszedł między ścianami, zatrzymał się w wąskim przejściu i uniósł głowę. Jasna smuga dotknęła jego policzka, pozostawiając drugą połowę twarzy w cieniu.

- A gdyby pod koniec scena naprawdę się otworzyła? - zapytał.

- W jaki sposób?

- Środkowy element może się przesuwać.

Spojrzałam na konstrukcję jeszcze raz.

- Wtedy światło przejdzie prosto na wodę.

- Właśnie.

Przez moment zobaczyłam to tak wyraźnie, jakby przedstawienie już trwało. Kobieta wychodząca z zamkniętego domu. Światło przedzierające się przez ciemność. Jezioro, które przestaje być tłem i staje się obietnicą.

Zaskoczyło mnie, jak bardzo spodobała mi się ta możliwość.

- Musiałabym przeprogramować finał - powiedziałam.

- Ja musiałbym przebudować mechanizm.

- Dużo pracy.

- Zdarza mi się pracować.

- Nie wątpię. Szczególnie nad komplikowaniem życia innym.

Zaśmiał się cicho.

I wtedy rozległ się huk.

Nie był głośny jak wybuch. Przypominał raczej trzask olbrzymiej deski łamanej na pół. Podłoga pod stopami Wiktora drgnęła, a jeden z bocznych elementów sceny osunął się o kilka centymetrów.

- Nie ruszaj się! - krzyknęłam.

Natychmiast zatrzymał się w miejscu.

Wyłączyłam zasilanie urządzeń scenicznych i zbiegłam po schodach. Wiktor zdążył już włączyć latarkę w telefonie. Oświetlił szczelinę biegnącą wzdłuż krawędzi podestu.

Dopiero teraz dostrzegłam pękniętą belkę nośną.

- To nie pańska konstrukcja? - zapytałam.

- Nie. Podest jest stały.

Kucnął, nie dotykając uszkodzonego fragmentu.

- Trzeba zamknąć scenę. Teraz.

Nie było już w jego głosie rozbawienia.

Wyjęłam telefon i zrobiłam zdjęcia uszkodzenia, po czym zadzwoniłam do kierowniczki technicznej. Wiktor odszukał taśmę zabezpieczającą i oznaczył wejścia. Przez kilka minut działaliśmy obok siebie bez żadnych złośliwości, jakby spór sprzed chwili należał do zupełnie innych ludzi.

Kiedy skończyłam rozmowę, usiadłam na pierwszej ławce.

Premiera za dziewięć dni. Uszkodzona scena. Projekt światła, którego nie można było teraz bezpiecznie sprawdzić. I warszawskie spotkanie, którego nie zamierzałam odwoływać.

Wiktor usiadł dwa miejsca dalej, pozostawiając między nami wolną przestrzeń.

- Konstruktor będzie rano - powiedziałam. - Do tego czasu nikt nie wchodzi na podest.

- Dobrze.

Przyjrzałam mu się z ukosa.

- Spodziewałam się, że zacznie pan protestować.

- Przeciwko czemu? Rozsądkowi?

- Przeciwko temu, że ktoś inny podjął decyzję.

Oparł łokcie na kolanach.

- Nie muszę podejmować wszystkich decyzji, Pola.

Po raz pierwszy wypowiedział moje imię bez zawodowego dystansu. Spokojnie, jakby sprawdzał, czy dobrze brzmi.

Nie odpowiedziałam od razu.

Za sceną wiatr poruszył trzcinami. W oddali migotały światła kilku domów, a nad wodą rozległ się pojedynczy głos nocnego ptaka. Teatr wydawał się teraz większy i dziwnie pusty.

- Rano będziemy musieli ustalić nowy plan - powiedział.

- Ja już mam plan.

- W takim razie będziemy musieli sprawdzić, czy przetrwał dzisiejszą noc.

Powinnam była uznać tę uwagę za kolejną prowokację. Zamiast tego dostrzegłam, że Wiktor patrzył nie na mnie, lecz na uszkodzoną scenę. Nie wyglądał na człowieka, który zamierzał zostawić problem komuś innemu.

- A pan? - zapytałam. - Ma pan jakiś plan?

- Kilka. Żaden nie zakładał zawalenia się podłogi.

- Pytam o później. Po premierze.

Odwrócił głowę. Przez chwilę wyglądał, jakby zastanawiał się, ile powiedzieć osobie poznanej niespełna godzinę wcześniej.

- Po premierze wyjeżdżam - odpowiedział.

- Daleko?

- Wystarczająco.

Nie dopytałam. Nie miałam do tego prawa ani rozsądnego powodu.

A jednak ta odpowiedź pozostała między nami, kiedy wstaliśmy i ruszyliśmy w stronę wyjścia. Przy furtce Wiktor zatrzymał się, żebym mogła przejść pierwsza. Nie dotknął mnie, choć wąskie przejście niemal wymuszało bliskość.

- Dobranoc, Pola.

Spojrzałam na jezioro, potem na niego.

- Jeszcze nie - odpowiedziałam. - Muszę sprawdzić, czy zabezpieczyliśmy tylne wejście.

Uśmiechnął się łagodniej niż wcześniej.

- To chodźmy.

I właśnie wtedy, idąc obok mężczyzny, którego przed chwilą chciałam wyrzucić z własnego projektu, zadałam sobie pytanie, na które nie znałam odpowiedzi.

Dlaczego bardziej od perspektywy kolejnych dziewięciu dni współpracy z Wiktorem Małeckim niepokoiła mnie myśl, że po premierze naprawdę wyjedzie?

Rozdział 1 - Dziewięć dni do premiery

O ósmej rano teatr pachniał mokrym drewnem, świeżo zaparzoną kawą i katastrofą, której nikt nie chciał jeszcze nazwać po imieniu.

Stałam przy wejściu na scenę, obserwując mężczyznę w pomarańczowej kamizelce. Od kilkunastu minut przesuwał dłonią po uszkodzonej belce, sprawdzał połączenia i robił zdjęcia. Nie próbowałam go poganiać. W zawodzie, w którym niewłaściwie zamocowany reflektor mógł komuś spaść na głowę, nauczyłam się odróżniać niecierpliwość od odwagi.

Problem polegał na tym, że każda kolejna minuta odbierała mi coś, czego nie mogłam kupić ani odzyskać.

Czas.

Na ekranie tabletu miałam otwarty harmonogram. Dziewięć dni do premiery. Siedem do próby generalnej. Cztery do pierwszego pełnego przebiegu technicznego. W normalnych warunkach oznaczałoby to intensywną, ale możliwą do opanowania pracę.

W obecnych warunkach przypominało planowanie kolacji w domu, który właśnie zaczął się palić.

- Dzień dobry, Pola.

Nie musiałam odwracać głowy, żeby rozpoznać głos Wiktora Małeckiego.

- To się jeszcze okaże.

Stanął obok mnie z dwoma papierowymi kubkami kawy. Miał na sobie ciemną koszulkę, beżowe spodnie robocze i wyglądał na człowieka, który przespał całą noc, choć po

zabezpieczeniu tylnego wejścia rozstaliśmy się dopiero przed północą.

Ja spałam cztery godziny.

Przez pozostały czas próbowałam przekonać samą siebie, że mężczyzna z niepokojąco spokojnym spojrzeniem nie jest dodatkową komplikacją, na którą powinnam uważać.

- Czarna, bez cukru - powiedział, podając mi kubek.

Spojrzałam na niego podejrzliwie.

- Skąd pan wie?

- Wczoraj widziałem pusty kubek przy pani stanowisku. Na wieczku było napisane „czarna".

- Mógł należeć do kogoś innego.

- Mógł. Wtedy będę musiał przeprosić za nietrafioną kawę.

Przyjęłam kubek. Był gorący, a zapach ziaren przez chwilę skutecznie odwrócił moją uwagę od uszkodzonego podestu.

- Dziękuję.

- Proszę bardzo.

Nie dodał niczego więcej. To było niemal równie irytujące jak jego wczorajsze odpowiedzi. Nie próbował wykorzystać drobnego gestu, żeby wymusić sympatię. Po prostu przyniósł kawę i spojrzał na scenę.

Właśnie wtedy konstruktor wyprostował się i zdjął okulary.

- Mam wstępną ocenę - oznajmił. - Uszkodzenie obejmuje główną belkę i dwa połączenia poprzeczne. Dopóki nie sprawdzimy całej konstrukcji, nikt nie może korzystać z podestu.

Poczułam, jak gorzki smak kawy zostaje mi na języku.

- Ile potrwa naprawa? - zapytałam.

- Jeśli materiały będą dostępne, trzy albo cztery dni. Ale nie podam terminu przed sprawdzeniem pozostałych podpór.

- Cztery dni? - powtórzył ktoś za moimi plecami.

Dyrektorka teatru, Helena Rudzka, pojawiła się w towarzystwie kierowniczki technicznej, Marty. Helena miała na sobie lnianą sukienkę i minę kobiety, która właśnie dowiedziała się, że świat nie zamierza dostosować się do podpisanych przez nią umów.

- Bilety są sprzedane - powiedziała. - Patroni przyjeżdżają w przyszły piątek. Nie możemy przesunąć premiery.

- Możemy za to uniknąć wypadku - odparł konstruktor.

Zapadła cisza.

Wiktor postawił kawę na ławce.

- Potrzebujemy wariantu awaryjnego - powiedział. - Jeśli zasadniczy podest będzie wyłączony, możemy zbudować niezależną powierzchnię gry przed nim.

Spojrzałam na niego.

- Przed sceną?

- Na poziomie pierwszego rzędu. Widownię cofniemy.

- A moje światło?

- Dostosujemy.

Jedno słowo wystarczyło, żebym poczuła znajome napięcie między łopatkami.

- Nie - odpowiedziałam.

Helena spojrzała na mnie zaskoczona.

- Pola...

- Nie mówię, że nie przygotuję alternatywy. Mówię, że nie zgadzam się na decyzję o zmianie całej przestrzeni bez sprawdzenia jej konsekwencji. Mam gotowy projekt, uzgodnione kąty świecenia, zaprogramowane przejścia i zamówiony sprzęt. Przeniesienie aktorów o kilka metrów oznacza, że część reflektorów będzie świeciła prosto w oczy publiczności.

Wiktor odwrócił się do mnie.

- Wiem.

- W takim razie dlaczego mówi pan o tym tak, jakby chodziło o przestawienie stolika?

- Bo ktoś musi zacząć od rozwiązania, a nie od listy powodów, dla których będzie trudno.

Ta uwaga trafiła dokładnie tam, gdzie nie powinna.

Zacisnęłam palce na kubku.

- Nie myli pan planowania z bezczynnością?

- Nie. Ale mam wrażenie, że pani myli zmianę planu z utratą kontroli.

Marta odchrząknęła.

- Może omówimy szczegóły w biurze?

Nie odpowiedziałam. Odwróciłam się i ruszyłam pierwsza.

Biuro Heleny mieściło się w niewielkim budynku za widownią. Na ścianach wisiały plakaty dawnych przedstawień, a pod oknem stał wentylator, który wydawał więcej hałasu, niż przynosił ulgi. Rozłożyłam tablet, otworzyłam plan techniczny i podłączyłam go do monitora.

Wiktor usiadł naprzeciwko mnie.

Za blisko.

Nie fizycznie. Po prostu w taki sposób, że za każdym razem, gdy podnosiłam wzrok, napotykałam jego spojrzenie.

- Zróbmy to porządnie - powiedziałam. - Najpierw bezpieczeństwo, później geometria przestrzeni, dopiero na końcu decyzje artystyczne.

- Zgoda - odpowiedział.

Uniosłam brwi.

- Tak po prostu?

- Nie zamierzam sprzeczać się z czymś rozsądnym tylko dlatego, że powiedziała to pani.

Helena westchnęła z ulgą.

Przez następne czterdzieści minut analizowaliśmy możliwe rozwiązania. Marta przedstawiła stan wyposażenia. Wiktor naszkicował dwa warianty niezależnej platformy. Ja obliczyłam, które urządzenia można przenieść bez dodatkowego zasilania i jak zmienić oświetlenie, by nie oślepiać aktorów.

Pierwszy wariant odrzuciłam niemal natychmiast. Drugi wymagałby zbyt dużych zmian w ustawieniu widowni. Przy trzecim zatrzymałam się dłużej.

- Jeśli cofniemy pierwsze dwa rzędy i ustawimy platformę pod niewielkim kątem, mogę wykorzystać boczne światło z istniejących stanowisk - powiedziałam.

Wiktor pochylił się nad szkicem.

- Ale wtedy publiczność straci widok na jezioro.

- Nie całkowicie.

- W finale tak.

- Finał możemy zmienić.

Spojrzał na mnie znad kartki.

- Wczoraj była pani gotowa walczyć o każde ustawienie.

- Wczoraj scena była cała.

Uśmiechnął się krótko.

- To chyba pierwszy moment, kiedy naprawdę się rozumiemy.

Nie chciałam, żeby to zdanie sprawiło mi przyjemność.

A jednak sprawiło.

Po spotkaniu wyszłam na pomost, żeby zadzwonić do producentki warszawskiej instalacji. Potrzebowałam potwierdzenia, że termin prezentacji pozostaje aktualny. Potrzebowałam też usłyszeć, że poza tym teatrem istniał jeszcze świat, w którym moje plany nie rozpadały się z hukiem.

- Pola, wszystko jest przygotowane - powiedziała Agata. - Komisja ma twoje portfolio. Prezentacja w czwartek za trzy tygodnie, o jedenastej. Przyjedź dzień wcześniej, żebyśmy mogły sprawdzić projekcję.

- Będę.

- Na pewno? Brzmisz, jakbyś właśnie próbowała ugasić pożar.

Spojrzałam na spokojną taflę jeziora.

- Coś podobnego.

- Pamiętaj, że to twoja szansa. Nie oddawaj jej dlatego, że ktoś nie potrafi zaplanować własnego projektu.

Zamknęłam oczy.

- Nie oddam.

Po zakończeniu rozmowy przez chwilę zostałam na pomoście. Słońce odbijało się od wody, a po drugiej stronie jeziora przesuwała się niewielka żaglówka. Miejsce było piękne. Tak piękne, że trudno było pogodzić je z poranną awanturą.

- Zła wiadomość?

Wiktor stał kilka kroków za mną.

- Prywatna rozmowa.

- Rozumiem.

Nie zbliżył się. Oparł się o poręcz przy wejściu na pomost, zostawiając mi przestrzeń.

- Chciałem tylko powiedzieć, że znalazłem wykonawcę platformy.

- Gratuluję.

- Przyjedzie o piętnastej. Potrzebuje zatwierdzonych wymiarów.

Schowałam telefon.

- Czyli mamy cztery godziny na podjęcie decyzji.

- Mniej więcej.

- W takim razie powinniśmy wracać.

Ruszyłam w stronę brzegu, ale zatrzymałam się, kiedy usłyszałam jego głos.

- Pola.

Odwróciłam się.

- Nie zamierzam zabierać pani projektu.

Patrzył na mnie poważnie, bez wcześniejszego rozbawienia.

- Nie sugerowałam...

- Sugerowała pani od rana. I rozumiem dlaczego. Ale nie próbuję przejąć kontroli nad światłem. Chcę, żeby aktorzy mieli gdzie stanąć, a widzowie dostali przedstawienie, za które zapłacili.

Przez moment nie wiedziałam, co odpowiedzieć.

- W takim razie proszę przestać podejmować decyzje dotyczące mojej pracy, zanim ze mną pan porozmawia.

Skinął głową.

- Uczciwe.

- I żadnych zmian konstrukcyjnych po godzinach bez aktualizacji dokumentacji.

- Równie uczciwe.

Przyjrzałam mu się uważniej.

- Zawsze tak łatwo pan ustępuje?

- Nie ustępuję. Ustalam zasady.

To rozróżnienie wydało mi się ważniejsze, niż chciałam przyznać.

O piętnastej mieliśmy już trzy szkice, dwa kosztorysy i jedną wersję kompromisu, której żadne z nas nie uważało za idealną.

Wykonawca platformy, krępy mężczyzna o imieniu Robert, obejrzał projekt i pokręcił głową.

- Stabilne będzie, ale nie zdążę zrobić tego w dwa dni.

- Ile pan potrzebuje? - zapytała Marta.

- Trzech. I to przy założeniu, że dostanę materiał jutro rano.

Helena pobladła.

Wiktor przesunął po stole swój szkic.

- A jeśli wykorzystamy moduły z zeszłorocznej produkcji?

Robert przyjrzał się rysunkowi.

- Jeśli są w dobrym stanie, możemy skrócić montaż.

- Są w magazynie w Olsztynie - odpowiedział Wiktor. - Sprawdzę dostępność.

- A ja sprawdzę, czy będą pasowały do obciążeń - dodałam. - Dopóki nie mamy potwierdzenia od konstruktora, nie zakładamy, że można na nich grać.

Wiktor skinął głową, tym razem bez komentarza.

Kiedy Robert wyszedł, Helena zamknęła drzwi i opadła na krzesło.

- Powiedzcie mi, że to się uda.

Nie odpowiedzieliśmy od razu.

W końcu Wiktor powiedział:

- Możemy przygotować bezpieczny wariant. Ale potrzebujemy jednej decyzji.

Spojrzałam na niego.

- Jakiej?

- Nie możemy budować dwóch różnych przedstawień. Scenografia i światło muszą od tej chwili powstawać razem.

Zrozumiałam, do czego zmierzał.

- Czyli?

- Każdą zmianę zatwierdzamy wspólnie. Żadnych jednostronnych poprawek, nawet jeśli któreś z nas będzie przekonane, że ma rację.

Helena spojrzała na mnie z nadzieją.

Miałam ochotę zaprotestować. Nie dlatego, że propozycja była nierozsądna, lecz dlatego, że oznaczała oddanie części

swobody człowiekowi, którego poznałam poprzedniego wieczoru.

A jednak wiedziałam, że bez współpracy nie uratujemy premiery.

- Pod jednym warunkiem - powiedziałam.

Wiktor wyprostował się.

- Słucham.

- Moje warszawskie zobowiązanie jest nienaruszalne. Wyjeżdżam zgodnie z planem. Jeśli prace się przeciągną, nie zostanę tu kosztem własnego projektu.

Helena otworzyła usta, ale Wiktor odezwał się pierwszy.

- Przyjmuję.

Spojrzałam na niego zaskoczona.

- Nawet pan nie pyta, dokąd jadę.

- Nie muszę wiedzieć, żeby uszanować termin.

Przez krótką chwilę poczułam coś znacznie bardziej niebezpiecznego niż zwykłą sympatię.

Ulgę.

Wieczorem, kiedy większość ekipy rozeszła się do domów, zostałam w kabinie technicznej, przepisując ustawienia świateł. Z okna widziałam Wiktora na pustej widowni. Rozmawiał przez telefon, przechadzając się między ławkami. Co jakiś czas zatrzymywał się i patrzył na jezioro.

Nie słyszałam rozmowy.

Wiedziałam jedynie, że kiedy ją zakończył, długo stał nieruchomo.

Potem podniósł głowę i zauważył mnie za szybą.

Uniósł dłoń.

Odpowiedziałam tym samym, zanim zdążyłam zastanowić się, czy chcę.

Kilka minut później zapukał do otwartych drzwi kabiny.

- Robert potwierdził transport. Moduły będą jutro po południu.

- Dobrze.

- Zabezpieczenia zostają do czasu odbioru.

- Bardzo dobrze.

Przez chwilę milczał, obserwując ekran mojego komputera.

- To nowy finał?

- Wstępna wersja.

- Mogę zobaczyć?

Przesunęłam się, robiąc mu miejsce.

Stanął obok, na tyle blisko, że poczułam ciepło jego ramienia, ale nie dotknął mnie. Na monitorze przesuwały się kolejne wizualizacje. Światło wydobywało z ciemności fragmenty sceny, pozostawiając resztę w głębokim cieniu.

Wiktor patrzył uważnie.

- W ostatniej scenie dałbym więcej ciemności - powiedział.

- Dlaczego?

- Bo jeśli wszystko zostanie odsłonięte, bohaterka nie będzie miała już czego odkrywać.

Zastanowiłam się nad tym.

- A może właśnie o to chodzi? Żeby w końcu wszystko zobaczyła?

Odwrócił głowę.

- Czasami najtrudniejsze jest nie zobaczyć. Tylko zdecydować, co zrobić z tym, co się zobaczyło.

Nie odpowiedziałam.

Na ekranie zatrzymałam ostatni kadr. Jasna smuga przecinała pustą przestrzeń, prowadząc ku jezioru.

Wiktor cofnął się o krok.

- Dobranoc, Pola.

Tym razem nie próbowałam zatrzymać go pod pretekstem kolejnej kontroli.

- Dobranoc, Wiktor.

Kiedy wyszedł, zostałam sama z projektem i dziwnym przekonaniem, że właśnie zgodziłam się na coś znacznie trudniejszego niż wspólne ratowanie przedstawienia.

Zgodziłam się dopuścić go do przestrzeni, którą dotąd uważałam wyłącznie za własną.

Rozdział 2 - Warunki bliskości

Następnego dnia o siódmej czterdzieści pięć dostałam wiadomość od Wiktora.

„Magazyn potwierdził moduły. Transport o czternastej. Konstruktor będzie na miejscu o piętnastej trzydzieści. Nie zmieniam niczego bez ciebie".

Przeczytałam ją dwa razy.

Nie dlatego, że zawierała wyjątkowo interesujące informacje techniczne. Chodziło o ostatnie zdanie.

Nie zmieniam niczego bez ciebie.

Proste. Konkretne. Bez żartu, bez próby zrobienia wrażenia.

Odpisałam:

„Dobrze. Ja przygotowałam nowy plan oświetlenia. Pokażę ci po dziewiątej".

Przez chwilę patrzyłam na ekran. Zauważyłam, że po raz pierwszy napisałam do niego bez oficjalnego „pan".

Nie poprawiłam wiadomości.

Przed południem spotkaliśmy się w sali prób, w której na co dzień przechowywano rekwizyty i składane krzesła. Na stole rozłożyłam rysunki, wydruki oraz listę urządzeń dostępnych w teatrze. Wiktor przyniósł modele konstrukcji wykonane z cienkiej tektury.

Przez pierwsze pół godziny pracowaliśmy niemal bez słów.

Nie było to niezręczne milczenie. Raczej rodzaj koncentracji, do której przywykłam podczas najlepszych

realizacji. Każde z nas wykonywało własną część pracy, ale wiedzieliśmy, co robi druga osoba.

Kiedy przesunęłam jeden z modeli, Wiktor automatycznie przytrzymał planszę.

Kiedy wskazał miejsce nowej podpory, od razu sprawdziłam, czy nie koliduje z projektowaną wiązką światła.

Zaskoczyło mnie, jak szybko zaczęliśmy rozumieć swoje gesty.

- Tutaj - powiedziałam, zaznaczając punkt na planie. - Jeśli przeniesiemy reflektor na boczną kratownicę, uzyskam właściwy kąt.

- A aktorka będzie widoczna dla ludzi z ostatnich rzędów?

- Tak, pod warunkiem że ściana nie przekroczy dwóch metrów czterdziestu.

Wiktor sięgnął po ołówek.

- Dwa trzydzieści wystarczy.

Spojrzałam na niego.

- Nie zamierzasz się targować?

- A powinienem?

- Zaczynam podejrzewać, że wczoraj celowo próbowałeś mnie zdenerwować.

- Wczoraj byłem przekonany, że moja wersja jest najlepsza.

- A dzisiaj?

- Dzisiaj wiem, że twoja jest równie dobra w miejscach, których nie zauważyłem.

Powiedział to bez wysiłku.

Zatrzymałam dłoń nad kartką.